

TEMATY TYGODNIA

- 8 Jerzy Baczyński
Uważajcie, co mówicie
- 12 Jacek Żakowski
Piknik demokracji
- 14 Adam Grzeszak, Piotr Pytlakowski
Dokąd prowadzą podstuchy
- 20 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Zderzenie polityki realnej z urojoną
- 22 Ewa Wilk
Czemu służy przeklinanie
- 24 Bartek Chaciński
Słownik wyrazów podsłuchanych

SPOŁECZEŃSTWO

- 26 Ewa Wilk
Urlop to fikcja
- 30 Joanna Podgórska
Gdy babcia ma HIV
- 32 Edyta Gietka
Na co idą budżety komisji przeciwalkoholowych
- 35 Ryszarda Socha
Wojny słupskie
- 38 Marcin Kołodziejczyk
O bezdomnym, którego zamurowano w sklepie

RYNEK

- 40 Juliusz Ćwieluch
Ubezpieczenia OC: o co kto walczy
- 42 Cezary Kowanda
Unia-Stany: skąd te sprzeczne interesy

ŚWIAT

- 46 Marek Ostrowski
Radek Sikorski – straci czy zyska
- 49 Adam Szostkiewicz
WATYKAN Koniec kariery wicypapieża
- 52 Tomasz Walat
SZWECJA Muzeum grzechu

HISTORIA

- 54 Wojciech Śmieja
Homoseksualne lobby w otoczeniu cesarza

NAUKA

- 58 Eugeniusz Pudlis
Szczwane lisy



12 Golgota, państwo d... i obywateli kupa



30 Zrób babci test



66 PÓLPRZEWODNIK POLITYKI: Ziemowit Szczerek z Ziem Odzyskanych



100 NA WŁASNE OCZY Miastożery

- 61 TECHNOUCHO
- 62 Przemysław Berg
Skąd świat weźmie energię
- 64 Paweł Walewski
Przełom w walce z wirusem HCV?

PÓLPRZEWODNIK POLITYKI

- 66 Ziemowit Szczerek
Kresy zachodnie – między Polską a Niemcami

KULTURA

- 74 Piotr Sarzyński
Dziedzictwo Zdrojewskiego
- 78 Piotr Pytlakowski
Polscy szpiedzy chwycili za pióra
- 80 Jan Błaszczak
Lado – muzyczny fenomen
- 84 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 86 Marta Mazuś
Kelnerem być
- 90 Olaf Szewczyk
Czy polski „Superhot” pobije sukces „Wolfensteina”
- 92 Sławomir Mizerski
PIŁKARSKA ŁOŻA POLITYKI

NA WŁASNE OCZY

- 100 Marta Mazuś,
fotografie Piotra Kała
Jak miasto żywi za darmo

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 94 Stomma
- 96 Passent • 97 Tym
- 98 Fusy • 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Kelnerska tajemnica

felieton



Z wielu stron płyną słowa potępienia wobec działań nielegalnych nagrywaczy. Zdecydowane „nie” ich działaniom powiedział Donald Tusk, o swojej solidarności z nielegalnie nagranyymi zapewnił przebywający niedawno w Gdańsku premier Hiszpanii. Słowa oburzenia pod adresem nagrywających kolegów kierują także środowiska kelnerskie z wielu miast Polski, przypominając, że współczesnego kelnera obowiązuje tajemnica kelnerska, z której nikt nie może go zwolnić.

To, co się wydarzyło, powiadają przedstawiciele świata kelnerów, kładzie się cieniem na zawodzie kelnera, który cieszy się zasłużenie dobrą opinią. Tę opinię polscy kelnerzy musieli mozolnie odbudowywać po mrocznych latach PRL – okresie dla naszego kelnerstwa niezwykle trudnym, bo zdominowanym przez

klientów awanturujących się i posiadających wrogie nastawienie do pracy kelnera. Ludzie ci agresywnie odnosili się zwłaszcza do kelnerów próbujących nauczyć ich kultury konsumpcji i chcących wyegzekwować należny napiwek odpowiedniej wysokości. Na porządku dziennym były słowne utarczki między kelnerami i klientami kwestionującymi ich uczciwość oraz prowadzenie się ich matek. Zdarzało się – co zrozumiałe – że w odpowiedzi obrażeni do żywego kelnerzy w celu przywołania klientów do porządku karcili ich fizycznie, dopisywali do rachunku lub pluli do zupy. Jednak nigdy żaden szanujący się kelner, o ile był zdrowy na umyśle, nie posunął się do nielegalnego nagrywania klientów w celu zdestabilizowania państwa, zakwestionowania przewodniej roli partii czy obalenia rządu lub systemu.

Dziś na naszych oczach upada detos kelnera pozbawionego politycznych ambicji i niewsadzającego nosa w nie swoje sprawy, a pierwsze skrzypce zaczynają grać żądni władzy menedżerowie VIProomów, usiłujący robić kariery na obsłudze celu rządzącej formacji politycznej w specjalnie wydzielonych do tego celu luksusowych pomieszczeniach. Afera taśmowa pokazała, że nawet niewielka grupa ambitnych kelnerów może być dla państwa groźna.

Na razie państwo się przed nimi obroniło, pokazując przy okazji niedowiarcom, że istnieje, przynajmniej teoretycznie. Ale strach pomyśleć, co będzie, gdy zacznie się realizować najczarniejszy dla państwa scenariusz i do sitwy nagrywających kelnerów dołączą barmani, którzy – jak wiadomo – w najważniejszych sprawach państwa wciąż nie powiedzieli jeszcze ani nie nagrali ostatniego słowa.

ZOBOWIĄZANIE TYMBARK: Zbudujemy przyszłą Reprezentację Polski, z której wszyscy Polacy będą dumni.



Paulina Dudek ma 17 lat, mieszka i trenuje w Gorzowie Wielkopolskim, w województwie lubuskim. Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” był dla niej przepustką do wielkiej przygody piłkarskiej i gry w Reprezentacji Polski. W 2007 roku wygrała Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” zostając również jego najlepszą zawodniczką. **W 2013 roku wywalczyła złoty medal Mistrzostw Europy z Reprezentacją Polski kobiet do lat 17**, a dziś gra już w dorosłej Reprezentacji. Uwielbia FC Barcelonę za piękny dla oka styl gry.



Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” istnieje od 14 lat. To **największy Turniej piłkarski dla dzieci w Europie**, w którym do tej pory wzięło udział ponad **700 000** dzieci z całej Polski. Zakończenie Turnieju jest wyjątkowe, bo mecze finałowe rozgrywane są na **Stadionie Narodowym w Warszawie**.

Tymbark stawia sobie jasny cel - zbudowanie silnej Reprezentacji Polski, z której każdy

Polak będzie dumny. Wszyscy młodzi piłkarze wierzą, że dzięki swojej pasji, woli walki, poświęceniu i ciężkiej pracy zagrają kiedyś w Reprezentacji Polski.

Tymbark też wierzy, że jest to możliwe.

Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” – przyszli Reprezentanci Polski są już w grze.

sponsor
główny:



organizator:



patronat
honorowy:

MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ



Ministerstwo
Sportu i Turystyki





Meczet beczka prochu

Bagdad jest bezpieczny – taki komunikat popłynął w zeszłym tygodniu z irackiego sztabu generalnego. Nie było to takie oczywiste, bo ofensywa przybyłych z Syrii sunnickich ekstremistów z organizacji Islamskie Państwo Iraku i Lewantu (ISIS) zatrzymała się dopiero 80 km od irackiej stolicy. Liderzy ISIS ponoć sami zrezygnowali ze szturmu na miasto, które jest rozległe i głównie szyickie, więc nawet w przypadku sukcesu byłoby trudne do utrzymania.

Blady strach padł natomiast na 350-tys. Samarę, 130 km na północ od Bagdadu. Jest tam jeden z najważniejszych szyickich meczetów **al-Askari**, w którego podziemiach są groby dwóch świętych imamów. W lutym 2006 r. zamachowiec z Al-Kaidy wysadził w powietrze słynną złotą kopułę tego meczetu, co przyjęto się uważać za początek wojny domowej w Iraku. W ciągu następnych kilku dni w szyickim odwecie zginęło ponad 3 tys. sunnitów

w całym kraju, spłonęło kilkadziesiąt sunnickich meczetów. Teraz jest obawa, że jeśli meczet wpadnie w ręce ISIS, zostanie doszczętnie zniszczony, a władze w Bagdadzie już zupełnie stracą kontrolę nad krajem. 26 czerwca sunniccy ekstremiści ostrzelali ten obiekt, dziś przypominający raczej fortecę, i zbliżyli się do niego na odległość 300 m. Eksperti twierdzą, że to element świadomej taktyki dowódców ISIS: stracili już element zaskoczenia, są daleko od swoich syryjskich baz, więc teraz próbują podpalić Irak jakimś dramatycznym świętokradztwem, co akurat nie wymaga dużego wysiłku.



Boliwia przeszła na czas Południa

Zabytkowy zegar z 1905 r. na budynku Kongresu w La Paz ruszył w drugą stronę. Zamiast w prawo – w lewo (taki jest też, lewoskrętny, układ liczb na cyferblacie). A właściwie, zmieniając kierunek, zamiast tradycyjnie na Północ ruszył na Południe. O co w tym wszystkim chodzi? O bardzo wiele. Ma, symbolicznie, wskazywać Boliwijczykom czas Południa, podkreślając w ten sposób ich dziedzictwo i południową osobowość. Odrzucać niesprawiedliwości kolonialnej Północy i pokazywać, że nowy ład rodzi się na Południu. Ma też nauczyć

odwagi w podważaniu zastanych reguł i zachęcić do kreatywnego myślenia, oduczyć zaś ślepego posłuszeństwa. Ta interpretacja ministra spraw zagranicznych Davida Choquehuaniki (dla BBC) bliska jest prezydentowi Evo Moralesowi, jednemu z barwniejszych przywódców wspomnianego Południa. Jeśli chodzi o decyzje polityczne dotyczące odmierzenia czasu w tym w regionie, jest tu precedens: w 2007 r. ówczesny prezydent Hugo Chavez dekretem opóźnił zegary o pół godziny, aby lepiej oddawały rytm biologiczny Wenezuelczyków.



Moda na Putina

W słynnym domu towarowym GUM w Moskwie pojawiła się w sprzedaży kolekcja koszulek z wizerunkami Władimira Putina. Sklep młodych projektantów AnyaAnya był otwarty tylko trzy dni, ale partia 3 tys. koszulek zniknęła w ciągu kilku godzin. Kolekcja nosiła nazwę „Wsjo putiom” (Wszystko gra) i składała się z 15 różnych wzorów i ostonek na iPhone’a. W jednej z wersji Putin był w stylu moro, z napisem u dołu „**Najbardziej uprzejmy człowiek**” (prezydent podczas referendum na Krymie mówił o umundurowanych „zwykłych uprzejmych ludziach”, którzy nadzorowali głosowanie). W innej Putin w garniturze i krawacie, z dopiskiem: „Czytam w twoich myślach”. Szczególną popularnością cieszyła się koszulka w stylu hawajskim i podpis po angielsku: „Pozdrowienia z Krymu!”, a także wersja „Nas nie dogonią”. Cena – 1200 rubli (105 zł), ostonka na telefon – dwa razy mniej, ale nie była aż tak popularna.

Dron to nie gra

Barack Obama rok temu obiecał, że jego rząd stworzy nowe zasady bojowego wykorzystania dronów, tymczasem nadal nie podaje do publicznej wiadomości liczby zgładzonych przeciwników i przypadkowych ofiar nalołów. Autorzy raportu sygnowanego przez New America Foundation, ponadpartyjny waszyngtoński think tank, wśród nich doradcy ds. bezpieczeństwa i wywiadu dwóch poprzednich prezydentów, uważają, że trzeba pilnie wprowadzić wiele zmian do programu „celowanego zabijania”, przede wszystkim powinno go prowadzić ministerstwo obrony, a nie wywiad cywilny. CIA ma z natury tendencję do utajniania całej swojej działalności i ta tajemniczość może sprawiać, że używanie samolotów bezałogowych przysparza Ameryce nieprzyjaciół, zamiast ich eliminować, czego dowodem chociażby obecna sytuacja w Iraku.

Strategia wymaga korekty, bo może stać się kłopotliwym przykładem. Na świecie trwa dronowy wyścig zbrojeń i prawdopodobnie jest tylko kwestią czasu, gdy inne państwa – np. Rosja na Ukrainie – zaczną naśladować Amerykę i będą atakowały dowolnie wybrane osoby, przebywające także poza obszarem działań wojennych. Raport przypomina również, że wbrew obiegowej opinii latanie dronami to nie gra komputerowa. Co prawda zwykli piloci są narażeni na zestrzelenie, ale dokładne rozkazy dostają tuż przed akcją. Za to bywa, że operatorzy dronów obserwują podejrzanych tygodniami lub miesiącami, podglądają ich na co dzień, poznają zwyczaje itd. I choć nierzadko naciskający na spust siedzą tysiące kilometrów od swojego celu, to są narażeni na stres bojowy nie mniejszy niż konwencjonalni lotnicy.

Kiribati dokupuje ziemi



Prezzydent tego małego archipelagu na Pacyfiku, Anote Tong, zakupił 20 km kw. terenów na wyspie Vanua Levu wchodzącej w skład Fidżi, jakieś 2 tys. km od domu. Kościół anglikański sprzedał te tereny za

9,3 mln dol. australijskich (26 mln zł). Jest to rodzaj polisy, aby 110 tys. mieszkańców rozrzuconych na 33 wyspach koralowych miało się w razie czego gdzie schronić. Ma to być też rezerwuuar żywności, bo w związku z ekspansją morza gleba na Kiribati szybko ulega zasoleniu.

Kiribati bowiem tonie, poziom morza podnosi się rocznie o 1,2 cm, cztery razy szybciej niż wynosi średnia światowa. I jak się nic nie zmieni, los archipelagu jest przypieczętowany. Prezydent szukał miejsca na nową ojczyznę na Sri Lance i w Indiach, ale z Fidżi łączy Kiribati stara przyjaźń i interesy. W latach 50. przeprowadzili się tu mieszkańcy kiribatyskiej wysepki Banaba, gdy wypędziła ich z domu kopalnia fosfatów.

Spisek złomiarzy

Rzecz dzieje się w Rumunii i w historii tej występuje rumuński prezydent, jego młodszy brat oraz znajomy brata wraz z rodziną. Ów znajomy to niepiśmienny Sandu Anghel z portowej Konstancy, miejscowy gangster, który zarabiał na życie handlem złomem, głównie metalowymi elementami kradzionymi ze szlaków kolejowych. Anghel odsiaduje wyrok 8 lat i 9 miesięcy za próbę zasztytowania swojego bratanka. Rodzina postanowiła pomóc uwięzionemu i jakiś czas temu zwróciła się o pomoc do Mircei Bănescu, w jednej osobie właściciela przedsiębiorstwa z branży mięsnej, działającego w konstanckim porcie, ojca chrzestnego wnuczki Anghela i brata urzędującego prezydenta. Mircea Bănescu miał obiecać, że doprowadzi do wypuszczenia złomiarza i za fatygę miał przyjąć 250 tys. euro. Zdaniem rodziny nie wywiązał się jednak z umowy, więc Anghelowie opublikowali nagranie wideo sugerujące, że przyjął pieniądze. Mircea Bănescu został aresztowany i z aresztu broni się, że owszem, wziął te ćwierć miliona, ale był to tylko zwrot pożyczki, natomiast Anghelowie wykorzystują okazję do szantażu. Próbowali szantażować go już w maju, za co policja zatrzymała Izaurę, córkę złomiarza, i jej męża.

Oczywiście zrobił się skandal polityczny. Pozostający w opozycji do prezydenta parlament zażądał dymisji głowy państwa, centroprawicowego Traiana Bănescu. Ten odparł, że nie ma o czym mówić, bo nie ponosi odpowiedzialności za czyny brata. Prezydent wyczerpał limit kadencji, nie będzie kandydował w jesiennych wyborach i wygra je zapewne obecny premier, socjaldemokrata Victor Ponta, a skandal pewnie mu w tym pomoże. Morał zaś dopisują rumuńscy specjaliści od walki z korupcją: może i w Rumunii podobne afery zdarzają się zdecydowanie częściej niż w innych krajach Unii, ale nie może być z Rumunią tak źle, skoro sprawiedliwość upomina się nawet o brata prezydenta.

Gorzki triumf Wulffa



Był najkrócej urzędującym prezydentem powojennych Niemiec. Z berlińskiego pałacyku Bellevue **Christian Wulff** wyprowadził się po 598 dniach. W lutym 2012 r. podał się do dymisji, po tym jak prokuratura w Hanowerze zażądała uchylecia mu immunitetu.

W wydanej właśnie książce „Ganz oben, ganz unten” (Na samej górze, na samym dole) polityk prezentuje się jako ofiara organów ścigania, ale też mediów. Zaczęło się od zarzutu z ich strony, że w 2008 r., jeszcze jako premier Dolnej Saksonii, Wulff zaciągnął pożyczkę u żony przedsiębiorcy Egona Geerkensa, a później wypierał się związków biznesowych z tym człowiekiem. Podrażniony polityk popełnił błąd – zostawił wiadomość głosową w telefonie redaktora naczelnego dziennika „Bild”, przestrzegając przed krytyczną publikacją.

Przez dwa miesiące niemieckie media drażyły temat, wytykając prezydentowi kolejne bliskie związki z przedsiębiorcami. Pojawiały się informacje, że producent filmowy David Groenewold opłacił podróż Wulffa na wyspę Sylt i festiwal Oktoberfest. Prezydent utrzymywał, że pieniądze oddał w gotówce. Prokuratura dopatrzyła się jednak przyjmowania korzyści majątkowych. Proces, w którym szło o kilkadziesiąt euro, kosztował niemieckich podatników ponad 4 mln. Wulff został uniewinniony. Wyrok uprawomocnił się 13 czerwca. Teraz to prokuratura ma kłopoty, bo znany prawnik Gernot Fritz złożył na nią doniesienie. Wytyka jej, że w sprawie Wulffa działała nieproporcjonalnie do wagi zarzutów i przekazywała mediom szczegóły dochodzenia. Wulff nie wróci do Bellevue, ale ma jeszcze jeden powód do satysfakcji. Jego książka trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”.

Do użytku wewnętrznego



Jerzy Baczyński

W aferze taśmowej zapanowała chwilowa (?) cisza: minął tydzień i nie ma nowych nagrań, jeśli nie liczyć jakiegoś, ewidentnie ścinkowego, odpadu zamieszczonego w tygodniku „Wprost”. Gdzie są taśmy i dlaczego nikt ich nie wypuszcza? Zwłaszcza te już zapowiedziane? Grupa nagraniowa się przestraszyła? A może, jak prawie wszyscy podejrzewają, ruszyły dyskretne przetargi, kto zapłaci, ile i komu, żeby uniknąć kompromitacji? Szantażyści posiali lęk i przystępują do żniw? A może prokuratura przechwycała nagrania i teraz zastanawia się, co z nimi zrobić? Potraktuje jako dowód w sprawie o nielegalne podsłuchy czy będzie analizować ich treść, żeby jakimś urzędnikom czy biznesmenom postawić ewentualne zarzuty naruszenia prawa? A jeśli tak, to czy prokuratura wejdzie w rolę „Wprost” i opublikuje fragmenty nagrań? I których to? Wierzyć się nie chce, żeby już nic nie wyciekło z tych kilkudziesięciu–kilkuset godzin podsłuchów.

Trwa oczekiwanie na postępy śledztwa (co wiemy, piszemy na s. 14) oraz na dalsze rewelacje, opinia publiczna już popędziła za nowymi tropami i personaliami. W tym ferworze zbyt szybko jednak porzuciliśmy, być może, w tej sprawie centralny wątek – bo nagrań i podsłuchujących może być w przyszłości więcej – a mianowicie: co jest prywatne, a co publiczne? I czym to się różni?

Już samo postawienie takiego pytania wydaje się nieprzystojne, bo może sugerować zamiar osłabienia wymowy nagrań, zamiatania pod dywan niewygodnej dla władzy prawdy. Cała polityczna opozycja, która ma dziś używanie, powtarza, że mniej albo w ogóle nieważne, kto i po co podsłuchiwał, ale co się nagrało. Nie bagatelizuję samych rozmów, jest tam wiele fragmentów co najmniej żenujących, ale powiedzmy, że na razie jest to materiał głównie na skandal; do obróbki bardziej dla polityków niż dla prokuratury. Jednak właśnie politycy powinni być nieco ostrożniejsi w okazywaniu entuzjazmu nagraniami, bo broń podsłuchowa jest wielosieczna. Wszystkie ugrupowania polityczne miały już swoje przykre doświadczenia z ukrytymi nagraniami, więc roztropiej, dla własnego bezpieczeństwa, nie dawaj alibi kolejnym studiom nagrań: teraz PO, jutro PiS, PSL czy SLD. Urządzenia rejestracyjne są dziś powszechnie dostępne, choćby w telefonach komórkowych, nie mówiąc już o bardziej profesjonalnym i niedrogim sprzęcie. Aż się prosi, żeby zrobić z tego biznes. W świecie polityczno-gospodarczym codziennie odbywają się tysiące poufnych narad, negocjacji, ludzie coś omawiają, rozważają strategię, krytykują konkurentów, kolegów i przełożonych, kombinują, jak zapłacić mniejsze podatki, ograbić rywala, zyskać czyjąś przychylność. Nasze życie, także zawodowe, odbywa się głównie w sferze „nieprzeznaczony do użytku wewnętrznego”. Nie przypadkiem komunikaty i wypowiedzi publiczne są limitowane i ściśle kontrolowane. Dlaczego? Przecież, jak mówił pewien znany polityk: uczciwy nie ma się czego bać.

Otóż, powtarzam rzecz wydawałoby się oczywistą: komunikacja prywatna, albo powiedzmy raczej niepubliczna, zwykle służy różnym innym celom niż proste przekazanie informacji. Ludzie rozmawiają, żeby wyrobić sobie opinię, wysondować czyjeś zdanie lub na nie wpłynąć, wyrzucić zdanie, rozładować frustrację, popisać się, podbudować własną samoocenę, podkreślić własną pozycję społeczną, zbudować więź emocjonalną z rozmówcą itd. Każdy z nas, otwierając usta, tak robi, świadomie lub nie. W tym numerze POLITYKI Ewa Wilk świetnie opisuje m.in. użycie wulgaryzmów czy prymitywnych dowcipów jako swoistego i powszechnego środka komunikacji.

Czytając stenogramy podsłuchanych rozmów lub odsłuchując nagrania, obecnych i przyszłych, trzeba by więc – co jest praktycznie niewykonalne – stosować filtr korygujący kontekst i konwencję rozmowy, taki współczynnik redukujący wagę przekazu. Bo sam tekst przeniesiony z jednej rzeczywistości do drugiej, obojętnie – z publicznej w prywatną czy odwrotnie, często zasadniczo zmienia znaczenie. Trudno nawet obronić tezę, dziś dość popularną, że w podsłuchanych rozmowach partnerzy ujawniają swój prawdziwy sposób myślenia, poziom kultury, obnażają się. Może tak, a może nie, może byli szczerzy do bólu, a może trochę grali? Cóż, zawsze jesteśmy jakoś tam bezradni w interpretacji wykradzionych tekstów, za to bardzo łatwo możemy nimi manipulować. I dlatego m.in. norma społeczna bardzo surowo traktuje podsłuchiwanie i donoszenie. Nie przypadkiem w demokratycznych społeczeństwach prawo podsłuchu zarezerwowano dla służb śledczych i specjalnych, i to tylko w sytuacji wiarygodnych (!) podejrzeń o popełnienie przestępstwa.

Afera podsłuchowa zawiera jednak poważną przestrożę kierowaną do nas wszystkich. Otóż, upublicznienie – nawet wbrew naszej woli i wiedzy – prywatnych wypowiedzi czyni z nich byt publiczny. Prawnicy ostrzegają, że nawet w domu, wobec własnych przyjaciół czy bliskich, można np. kogoś zniesławić, pomówić i znieważać, a jeśli rzecz się wyda, możemy odpowiadać cywilnie i karnie. „Jeśli się wyda”, jeśli ktoś ujawni, możemy odpowiadać za groźby karalne, przygotowanie do naruszenia prawa, powoływanie się na wpływy w celu uzyskania korzyści itd. Akt upublicznienia może z nas czynić potencjalnego przestępcę. Więc nie cieszymy się, że akurat padło na grupę – powiedzmy – zepsutych cyników, obżerających się za państwowe pieniądze. Ograniczenie przywileju prywatnej, nawet skrajnie nieodpowiedzialnej, głupiej i nieeleganckiej ekspresji jest cechą rzeczywistości totalitarnej. I, jak pisał przed tygodniem Jacek Żakowski, odziera nas z godności, rozbiera do naga i wypycha na plac, dla uciechy gawiedzi.

Sprawa ochrony prywatności – w świecie nowych technologii informacyjnych pozwalających niemal wszystko rejestrować i natychmiast oraz na wieki upubliczniać (do czego zresztą żadne gazety nie są potrzebne) – jest dzisiaj jednym z najgorętszych tematów cywilizacyjnego i prawniczego sporu. Jak bronić praw jednostki przed milionami kamer, urządzeń rejestrujących, sieciowych algorytmów, śledzących nasze zachowania? Wzrusza mnie zarzut stawiany podsłuchanym urzędnikom i biznesmenom, że „dali się nagrać”. To tak, jakby stawiał zarzut, że ktoś, idąc chodnikiem, „dał się przejechać” przez samochód. Są miejsca, w których nie ma prawa być samochodu, inaczej przecież nie powinniśmy wychodzić z domu.

Czy jest jeszcze jakiś obszar *off the record*, „poza nagraniem”? Bo jaki ma sens wychodzenie do restauracji, jeśli powinniśmy, na wszelki wypadek, nie odzywać się przy stole albo omijać tematy, które nas naprawdę interesują? Czy wolno nas podsłuchiwać i podglądać w pracy? Czy możemy prywatnie wypowiadać zdania i opinie, których nie powiedzielibyśmy do mikrofonu? Czy też wszyscy, którzy pełnią jakieś role publiczne, mają ulec paranoi ciągłych podejrzeń, nieufności, chować się przed dźwiękowymi i fotograficznymi paparazzi, mówić tylko tak, jakby mieli to przeczytać w druku? Chodzi mi o to, że jeśli stworzymy i usankcjonujemy (mówię też o mediach) popyt na podsłuchy i podglądy, to za nimi pójdzie podaż. Taki świat byłby okropnym miejscem do życia.

Scenariusz na wakacje

Premier Donald Tusk obronił się efektywnie i skutecznie. Nie wiadomo, dlaczego wniosek o wotum zaufania do rządu (przygotowany w tajemnicy, którą prawie do końca udało się utrzymać) zaskoczył opozycję. Przecież sam Leszek Miller takie wyjście akurat sugerował, a gdy Tusk je zastosował, to się zwyczajnie rozsierdził i natychmiast powołał swoją komisję do badania afery podsłuchowej. Niestety, porównanie z zespołem Macierewicza nasuwa się samo. Ciekawe, co też oni będą śledzić i do jakich wniosków dojdą, czy na przykład odwołają się do językoznawców, bo już słyszałam, jak zarzucono członkom rządu, że być może prawa nie złamali, ale z pewnością ustawę o języku polskim naruszyli. Pożyteczne jednak byłoby, gdyby lewicowy zespół zajął się ujawnioną w rozmowie, z grubsza oczywiście, zawartością akt w sprawie likwidacji WSI, zwłaszcza operacją ZEN. To historia rzeczywiście o wiele większej wagi niż menu w restauracji pana Sowy. Premiera i prokuraturę w tej akurat sprawie należałoby mocno dopingować.

Oczywiście premier obronił się na jakiś czas, bo parlamentarna „jazda” jest zaplanowana aż do sejmowych wakacji. Już za tydzień będzie rozpatrywany wniosek o wotum nieufności dla ministra spraw wewnętrznych, a za trzy – tzw. konstruktywne wotum PiS z prof. Glińskim w roli głównej. Tak rzecz cała wygląda regulaminowo, choć trzeba przyznać, że także mocno groteskowo. Tyle zabiegów, w tym posła Gowina, który już nawet po prof. Hausnera chciał sięgnąć, i znów stanęło na Glińskim. Oto długa ławka kadrowa PiS! A dlaczego nie Gowin, który przecież rządowe doświadczenie ma, czasem służy wręcz jako wzorzec zachowań moralnych? Kto za Tuskiem, ten Polsce obcy i niemoralny – to przecież z góry zapowiedziane główne przesłanie debaty. Niemoralni zaś będą piętnowani publicznie podczas kampanii. Gowin bardzo by się tu przydał, a jako kandydat miałby i ten atut, że będąc posłem, miałby przynajmniej prawo swoje niby-exposé wygłosić w Sejmie. Kaczyński boi się nawet takiej konkurencji?

Premier sięgnął po wotum, czyli broń potężną, a jednak zbytnio się nie wysilił. Powiedział to, co mówił wcześniej, i to była, jak na tamten czas, linia dobra, opisująca to, co wiadomo, i przypominająca spekulacje, jakich pełno. Za dwa tygodnie dobra już być nie musi, bo zamieszanie wokół podsłuchów coraz większe. Wyraźnie widać, że te rosyjskie tropy są dość sztuczne i może się skończyć na spisku kelnerów oraz jakichś, choć niekoniecznie akurat obecnie podejrzanych, biznesmenów. Opozycja, niestety, nic nie miała do powiedzenia, wyjąwszy posła Krzysztofa Szczerskiego (czytaj – s. 9), który już na wstępie oznajmił, że jest pro-

fesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, co jak rozumieć, miało mu przydać wagi i powagi. Niestety, wcześniejsze lustracyjne nastroje na tej uczelni, afront dla komisarza Barrosa, wreszcie wystąpienie samego prof. Szczerskiego (szczególnie ujmujący był wątek owych „obcych”, którzy rządzą) nie przyniosą chwały tej uczelni i bycie jej absolwentem zaczyna być, niestety, obciachem. Poseł Szczerski jest ponoć ministrem spraw zagranicznych w gabinecie cieni Jarosława Kaczyńskiego. Będziemy mieli wyjątkowo ciekawą politykę zagraniczną, jeśli PiS dojdzie do władzy na przykład w koalicji z Nową Prawicą Janusza Korwin-Mikkego, bo na razie wedle sondażu tylko taka jest możliwa.

Przewidywanie tego, co się zdarzy, jest dziś przedsięwzięciem karkołomnym. Na razie wiadomo, że Tusk ma skonsolidowaną koalicję, ale nie bardzo wiadomo, czy też na dłużej skonsolidował własną partię. To ludowcy, na tle rozhisteryzowanej opozycji i zagubionej znacznej części Platformy, wyglądali na oazę spokoju i racjonalności. Ministrowi Sienkiewiczowi jednak nie odpuszczają i wydadzą się, że ta jedna dymisja jest w dłuższym lub nawet krótszym czasie przesądzona. Prędzej niż rekonstrukcji rządu można się spodziewać „rekonstrukcji” np. na stanowisku prezesa Orleń. Pan Krawiec, skądinąd mający opinię dobrego menedżera, był wyjątkowo nieostrożny i najwyraźniej mocno premiera ugodził. To wszystko są jednak spekulacje, bo prawdziwe scenariusze pisze premier. A on na razie tylko dogonił czas, który stracił



w pierwszym tygodniu po wybuchu afery. „Trup Tuska płynie już Wisłą” – żartował, w swoim stylu, rzecznik PiS Adam Hofman. „Tusk już się nie podniesie” – oznajmił wybitny znawca PO i Tuska Paweł

Piskorski, który najwyraźniej już się podniósł po klęsce w wyborach do PE i być może szuka nowego miejsca. Ale premier na razie jeszcze nie upadł i nie stracił zdolności koalicyjnej. Tylko Platforma dziś tę zdolność ma, a nie ma jej największa partia opozycyjna. Zaproszenie do rozmów wystosowane przez Jarosława Kaczyńskiego do innych partii, wyjąwszy Palikota, spotkało się z zainteresowaniem posła Gowina i posłanki Kempy, co żadnej nowej jakości politycznej nie czyni. Nikt poważny nie przyszedł nawet pogadać. Rutynowe wychodzenie PiS z sejmowych obrad i słuchanie wystąpień Palikota w innych pomieszczeniach staje się chwytem mocno zużyтым i nie świadczy o żadnej wyższości moralnej, raczej o bezradności.

Zwykło się mówić, że Tusk jest silny, bo opozycja jest słaba. To też, ale nie tylko. On jest o wiele zdolniejszy od Kwaśniewskiego – wdychali z żalem działacze SLD po numerze z wotum, no i nadal potrafi dyscyplinować swą partię, która wie, że bez niego jej nie będzie. Na tle opozycji, porozbijanej, niemożęcej wydać żadnego wspólnego komunikatu, premier wciąż trzyma się mocno. Bo PiS jest silne, tyle że bardziej samotne niż Tusk. Dowodem Jarosław Kaczyński startujący z pomysłem „premier Gliński”. Czego już nikt – a pewnie i on sam – nie traktuje poważnie.

Jan Koza



© JAN KOZA

Czujcie się przeproszeni

Agata Wejchert-Dworniak, córka Jana Wejcherta, przeprosza członków klubu Polskiej Rady Biznesu za zaniedbania, które za życia ojca byłyby niemożliwe. Składa samokrytykę i zapewnia, że w przyszłości podobne incydenty z pewnością się nie powtórzą. Przeprosiny zostały skierowane do wszystkich, czyli około 500, członków PRB.

Chodzi o nielegalne podsłuchiwanie i nagrywanie rozmów gości restauracji Amber Room, mieszczącej się w Pałacu Sobańskich. Na razie największy rozgłos zdobyło nagranie kolacji ministra Radostawa Sikorskiego, na którą zaprosił Jacka Rostowskiego. Podobne prywatne rozmowy nagrywano też w restauracji Sowa&Przyjaciele, a wcześniej – w zamkniętej od dawna Lemongrass.

Pałac Sobańskich jest prywatną własnością rodziny Wejchertów. Położony przy Al. Ujazdowskich, w bliskim sąsiedztwie Kancelarii Premiera. W czasach PRL mieścił się tu Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu, a potem PRON (Patriotyczny Ruch Ocalenia Narodowego). W nowej Polsce ulokowało się tu aż 17 ugrupowań politycznych, m.in. Jana Olszewskiego, Antoniego Macierewicza, Lecha Wałęsy. Aż do 1996 r. próbowała go odzyskać rodzina Sobańskich. Sprawa jednak się przeciągała, więc gdy Jan Wejchert zaproponował odkupienie roszczeń, rodzina się zgodziła. Po kilku miesiącach biznesmen stał się właścicielem atrakcyjnej nieruchomości. Polska Rada



© BARTOSZ BOBKOWSKI/AGENCJA GAZETA

Biznesu (jej ojcem założycielem był także Jan Wejchert) wynajmuje część pałacu na swoją siedzibę. Restaurację Amber Room, podobnie jak kilka innych – w założeniu dyskretnych – pomieszczeń, prowadzi komercyjnie spółka kierowana przez Agatę Wejchert.

Amber Room miał być miejscem zarezerwowanym dla członków PRB oraz zaproszonych przez nich gości, niedostępnym dla zwykłej publiczności. W czasach Jana Wejcherta tak było. Przed wybuchem afery Rywina częstym gościem biznesmenów był prezydent Aleksander Kwaśniewski oraz premier Leszek Miller. Przy szampanie wielki biznes przekonywał czołowych polityków do forsowanych przez siebie posunięć gospodarczych, m.in. podatku liniowego dla przedsiębiorców.

Po wybuchu afery czołowi politycy Pałacu Sobańskich starannie unikali. Jak widać, do czasu. Roczna składka członkowska w PRB wynosi od 1,5 do 15 tys. zł. Uprawiania m.in. do wizyt w Amber Room. Ponieważ jednak gastronomiczny interes kręcił się słabo, postanowiono restaurację udostępnić szerszej publiczności, przestała być ekskluzywna. Zaniechano też środków ostrożności przy doborze personelu.

Wten sposób „spółdzielnia” kilku kelnerów oraz recepcjonistki zatrudnionych w Pałacu Sobańskich mogła przez dłuższy czas bezkarnie podsłuchiwać i nagrywać rozmowy gości. Teraz o wiele częściej zaglądamy tu ciekawscy, chcący obejrzeć słynne studio nagrań, niż wielcy biznesmeni, o politykach nie wspominając. (Sol.)

O zawodzie kelnera dzisiaj – s. 86.



Martyna Bunda

Czasami lepiej oblać maturę

Niemal jedna trzecia oblała matury. Znow ich więcej niż przed rokiem. Czy za dużo?

Zważywszy, że przebudowaliśmy cały system szkolnictwa po to, by dać możliwie największej grupie młodych ludzi szanse na studiowanie – te 30 proc. to naprawdę mało. Dwie dekady temu, gdy projektowano reformy, na studia szło około 7 proc. młodzieży. W ostatnich rocznikach – już 90 proc. W dużej części – funkcjonalnych analfabeta, umiejących pisać, czytać (z większym lub mniejszym zrozumieniem) i rozwiązywać testy. Ale niepotrafiących samodzielnie wnioskować. Wymowne jest, że najgorzej poszło maturzystom z matematyki. Nie zdali, bo nie mają narzędzi. Może to lepiej, że nie pójdą na studia.

Szkoda jedynie czasu, jaki ta młodzież spędziła na gonieniu iluzji. Odcieśliśmy ich od szkolnictwa zawodowego, choć rzemieślnicze zajęcia dałyby wielu z nich, jak mówią pedagodzy, poczucie sensu i przydatności. Umieć dobrze zrobić stół, lubić to i mieć go komu sprzedać – to właściwie gwarancja satysfakcji, pod warun-

kiem że nie uwiera człowieka zawiedziona ambicja. Zdaliby matury, poszliby na te studia tego i owego – i co dalej?

Jednak prócz tych, którzy do matury w ogóle podchodzą nie powinni, oblewa co roku jeszcze druga charakterystyczna grupa. To ci, którzy się najbardziej mieszczą w ideałach reformatorów, bo lubią szkołę, pracują projektami, interesują się, zgłębiają. Jest pewne społeczne LO w Warszawie, w którym cała klasa oblała z jednego przedmiotu. Za dużo czasu w szkole strawili na eksplorowanie, dyskusję, czytanie. Za mało poszli w średniość i łatwość. Mamy więc kłopot i z młodzieżą, i z maturą.

Pozostaje mieć nadzieję, że dla tych zdolniejszych przymusowy rok przerwy okaże się wyzwalający. Może pojedą gdzieś, coś zobaczą, spróbują jakiejś pracy. I w tym sensie te 30 proc. ma szansę wypłatać się ze skrytu: zdana matura, nudne studia, umowa-zlecenie za grosze. Więc nawet nie wiadomo: czy lepiej było jakoś tam ledwo zdać maturę czy po prostu oblać?

Szykowany na MSZ

Wniosek o wotum zaufania dla rządu w związku z aferą podsłuchową zaskoczył Jarosława Kaczyńskiego; kamery zarejestrowały nerwową naradę prezesa z posłami. Kaczyński postanowił, że w imieniu partii wystąpi **Krzysztof Szczerski**, wiceszef komisji spraw zagranicznych i człony kandydat PiS na szefa MSZ.

„Zamieniacie Polskę w kupę kamieni, czyli w gruzowisko. Jesteście jak ten obcy, który przysłał się do Polski i żyje jej kosztem. Nie mamy dla was współczucia, a to dlatego, że gardzicie Polakami. Nie znosicie Polaków i Polski, nie szanujecie jej. Jesteście tutaj obcy” – mówił Szczerski. I takie było całe przemówienie, sprawnie wygłoszone, ale pełne raczej bon motów niż treści. Szczerskiego na mównicy będzie pewnie coraz więcej, bo po eurowyborach z klubu PiS odpadło kilkoro znanych posłów:



© MARCIN RUTKIEWICZ/REPORTER

Andrzej Duda, Kazimierz Ujazdowski, Zbigniew Kuźmiuk czy Anna Fotyga. To otwiera Szczerskiemu drzwi, by z eksper- ta od Unii stać się politykiem pełną gębą. W tę stronę zmierza od lat. Na przełomie 2006 i 2007 r. młodego politologa z UJ polecił Jarosławowi Kaczyńskiemu ówczesny senator PiS prof. Ryszard Legutko. Szczerski został wiceministrem spraw zagranicznych, a jego działką była Unia Europejska. W wyborach do Sejmu 2007 r. jeszcze nie startował, przetaił się w eurowyborach 2009 r., a pierwszym sukcesem były wybory do Sejmu w 2011 r. To był udany debiut, nawet politycy PO chwala go za pracę w sejmowych komisjach.

Szczerski niedawno przekroczył czterdziestkę, w PiS uchodzi za polityka młodego pokolenia. Zwłaszcza że ma krótki staż partyjny – wstąpił do PiS, dopiero gdy został posłem. Poglądami nie odbiega od partyjnej średniej, określa się jako katolicki konserwatysta. Zaskakiwać może to, że jest przeciwnikiem kary śmierci, w PiS przeważają jej zwolennicy. W partii trzyma się z Legutką oraz tzw. grupą profesorską, czyli intelektualistami wspierającymi PiS; to sprawia, że nie przepadają za nim zadźwoni o wpływy hofmanowcy. Szczerski nie dał się jednak poznać jako uczestnik partyjnych wojenek.

Złosiwi koledzy Szczerskiego z PiS powiadają, że ma rozrośnięte ego. Założył w Sejmie zespół ds. obrony demokratycznego państwa prawa i marzył podobno, by na wzór zespołu Macierewicza mówiono o tym zespole „zespół Szczerskiego”. Na swej stronie internetowej pisze o sobie „Krzysztof Szczerski to polityk i naukowiec o uznanym autorytecie”, a wspomniane wystąpienie sejmowe zaczął w podobnym stylu: „Chciałbym, żebyście państwo wysłuchali głosu obywatela zatroskanego o Rzeczpospolitą, profesora najstarszej polskiej uczelni”. Naturalnymi rywalami Szczerskiego w partii – z uwagi na marzenie o MSZ – są Witold Waszczykowski i Anna Fotyga. Dziś to Szczerski wydaje się faworytem w tym wyścigu. **(W.Sz.)**

Polsce grozi blackout

Pierwsze przerwy w dostawach energii mogą wystąpić już w przyszłym roku, a w latach 2016–17 Polsce grozi niedobór mocy. Powodem są remonty i wyłączenia starych elektrowni – dziś 55 proc. produkowanej w Polsce energii elektrycznej pochodzi z bloków, których wiek przekracza 30 lat. Ryzyko lokalnych wyłączeń będzie szczególnie duże w sytuacji ekstremalnych warunków pogodowych (np. obfitych

opadów śniegu). Zdaniem NIK przed black-outem Polskę mogą ochronić inwestycje w elektrownie wiatrowe, budowa inteligentnych sieci oraz zwiększenie możliwości importu energii z zagranicy. Autorzy raportu chwalą za to dobry stan krajowej sieci elektroenergetycznej. Średni wiek linii przesyłowych pod koniec 2012 r. wynosił niespełna 40 lat – to mniej niż w Szwajcarii (42 lata) czy w Niemczech (50 lat). **(R.T.)**

FESTIWAL
LEGEND
ROCKA 08.
W Dolinie Charlotty

Person

BOB DYLAN 5 lipca 2014

JETHRO TULL'S IAN ANDERSON 4 lipca
plays The Best of Tull

Fish 4 lipca

Dolina Charlotty



Dolina Charlotty Resort & SPA
Strzelinko koło Ustki
kontakt: +48 59 847 43 41, +48 59 847 43 00, hotel@charlotta.pl
www.dolinacharlotty.pl

Protest przeciwników „Golgoty Picnic” przed Ministerstwem Kultury w Warszawie



Golgota, państwo d... i obywateli kupa

Nie uwierzycie. Żałujcie, że was tam nie było.

JACEK ŻAKOWSKI

Nie jestem bezstronny. W wielu miejscach mówiłem, że odwołanie spektaklu „Golgota Picnic” nie powinno się zdarzyć. Wściekałem się na organizatorów, że dali się przestraszyć, na władze Poznania, że dopuściły do odwołania spektaklu (o sprawie obszernie pisała Aneta Kyzioł – POLITYKA 26), na policję, że zamiast zapewnić bezpieczeństwo straszyla kibolami, na ministra spraw wewnętrznych, że nie zareagował, gdy podległe mu służby zawiodły. Współtworzyłem podpisany już przez kilkanaście tysięcy osób, a pozostający wciąż bez odpowiedzi, list Obywateli Kultury do prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Na prośbę Michała Merczyńskiego, szefa festiwalu Malta, prowadziłem picnicową debatę na poznańskim placu Wolności. Poznałem autora spektaklu Rodrigo Garcíę i mam zaufanie do jego intencji. Widziałem nagranie spektaklu, czytałem tekst i jestem pod ich silnym wrażeniem. Obserwowałem ze środka czwartkową antypicnicową demonstrację przed warszawskim Nowym Teatrem (zarzucającą autorom spektaklu bluźnierstwo, obrazę uczuć religijnych i kpiny z ukrzyżowania). Usłyszałem też sporo obraźliwych słów od modlących się uczestników demonstracji. Obserwowałem z bliska setki osób czytających „Golgota Picnic” w Poznaniu i kilkadziesiąt osób z trąbkami oraz głośnikami, które im próbowały przeszkodzić, robiąc kocią muzykę oraz śpiewając pieśni religijne. To, co zobaczyłem i czego doświadczyłem przez

kilka ostatnich dni, daje mi silne poczucie, że na dłuższą metę spór o „Golgota Picnic” będzie ważniejszy niż afera podsłuchowa.

Jestem poruszony. Prowadząc w piątek 27 czerwca debatę na placu Wolności, co chwilę słyszałem odbierane przez jej uczestników doniesienia z „placów boju” w różnych miastach Polski. Każdemu z ponad dwudziestu czytelników towarzyszyły wyposażone w różańce, modlące się głośno, śpiewające religijne pieśni i próbujące zagłuszyć czytających pikiety. W Wałbrzychu pikietujący wtargnęli do teatru i przerwali czytanie sztuki. W Łodzi protestujący wdarli się na scenę. W Lublinie, gdzie czytanie odwołało ogromne samorządowe Centrum Kultury (zbudowane za pieniądze Unii Europejskiej), zorganizował je niewielki prywatny dom kultury. W Białymstoku policja zamknęła ulice wokół organizującego czytanie teatru, bo miejscowi kibole i narodowcy zapowiedzieli najście.

W Warszawie czytanie przeniesiono z placu Defilad do Teatru Studio, bo kocią muzyką „obrońców Chrystusa” wszystko zagłuszała. Paruset hałaśliwych demonstrantów z różańcami w dłoniach oblegało Narodowy Stary Teatr w Krakowie. Na placu Defilad i w Nowym Teatrze rozpylono śmierdzący gaz. Wszędzie pomiędzy nabożnymi pieśniami oraz dziesiątkami różańca modlących się katolików ubliżali twórcom oraz widzom. Tylko w Chorzowie, Jaworznie, Lublinie i Szczecinie ze strachu przed pikietami, towarzyszącymi im kibolami i żądaniami kurii odwołano czytania.

Jestem zaskoczony. Nie tylko liczbą ponad dwudziestu publicznych czytań „Golgota Picnic” i projekcji wideo zapisu spektaklu, które przez kilka dni zorganizowali Obywatele Kultury w ramach „Picnicu Polska”.

Widzieliście kiedyś, żeby w Polsce kilkuset zwykłych ludzi przez blisko pięć godzin debatowało na świeżym powietrzu? Widzieliście tłum rozgrzanych intelektualnie katolickich fundamentalistów w cywilizowany sposób spierających się z podobnie rozgrzanyymi zaprzysięgłymi ateistami i antyklerykałami? Widzieliście narodowców przepaszających artystów i niedoszłych widzów z kiboli i wymuszoną przy ich pomocy cenzurę? Widzieliście katolików przepaszających za zachęcającego do zamieszek biskupa? Widzieliście agnostyków, pastafarian, profesorów, rolników, studentów, uczniów, przedsiębiorców, prawników, anarchistów, konserwatystów, kuratorów sztuki, reżyserów, emerytów, prezydenta miasta, radcę prawnego kurii i różnych aktywistów na placu w centrum metropolii spierających się o granice wolności i odpowiedzialności, miejsce religii i sztuki, rolę Kościoła i twórców, prawa obywateli, obowiązki państwa i ryzyko, które wciąż trzeba podejmować, by nie stracić wolności?

Niczego takiego w Polsce nie widziałem. Póki nie przeżyłem tego w ostatni piątek w Poznaniu (każdy może postuchać zapisu tej debaty na stronie www.malta-festival.pl). Jeżeli jesteście miłośnikami wolności i demokracji, to, będąc na placu Wolności, mielibyście szansę zobaczyć je w najlepszym polskim wydaniu. Jeżeli się martwicie o ich przyszłość w Polsce, moglibyście doznać pociechy.

Jestem też zawstydzony. Wciąż mam w uszach słowa mówiącego przez zęby Rodrigo Garcíi, który zarzucał nam deficyt cywilnej odwagi i brak determinacji w obronie wolności. Mówił, że protesty katolickiej prawicy były w każdym kraju, w którym jego zespół wystawiał „Golgota Picnic”. Ale tylko w Polsce nie dopuszczono do wystawienia sztuki. „Nie można tak ulegać groźbom. To tchórzostwo”.

Kiedy organizatorzy próbowali tłumaczyć, że spektakl trzeba było odwołać, bo policja nie mogła zapewnić bezpieczeństwa aktorom i widzom, argentyński kolega Garcíi Gerardo Naumann dziwił się, że Polacy tak chętnie oddają swoją wolność w ręce policji i państwa. „To społeczeństwo musi stać na straży wolności i demokracji. Nie urzędnicy i funkcjonariusze. Kiedy w Argentynie ktoś próbuje odebrać nam wolność, bronią nas koledzy, a nie policjanci”. Sęk w tym, że w Polsce wielu takich kolegów chętnych do pomocy w obronie wolności dotychczas nie było. Przez całe ćwierć wieku wolności zdecydowanie więcej zdeterminowanych, spontanicznie aktywnych kolegów mieli ci, którzy chcieli komuś ograniczać wolność, niż ci, którzy chcieli jej bronić.

Poznań mnie zaskoczył. Jego konserwatywne władze przez ostatnie lata nie bardzo się przykładały, by chronić squaty przed napadami kibolskiej prawicy. Parady Równości były zakazywane lub słabo chronione przed atakami kiboli. Ewę Wójciak, legendę niezależnego teatru, zwolniono za obrażenie papieża. Ale nie tylko w Poznaniu przez ostatnie lata narasta problem z wolnością wyrażania poglądów, debaty, twórczości. Z obawy przed kibolami Dolnośląska Szkoła Wyzsza we Wrocławiu odwołała uroczyste wręczenie doktoratu honoris causa Zygmuntovi Baumanowi. Pod presją radykalnej prawicy Uniwersytet Jagielloński odwołał doktorat honorowy dla przewodniczącego José Barroso. Ze strachu przed katolickimi fundamentalistami Uniwersytet Warszawski odwołał wykład Petera Singera. Uniwersytet Lubelski „ze względów bezpieczeństwa” odwołał wykład prof. Jana Hartmana. Takich przykładów jest bezlik. Ale rzadko się zdarza, by po takim incydencie mieszkańcy zebrali się na publicznej debacie i zwłaszcza by prezydent miasta spontanicznie włączył się do publicznej debaty.

Tendencja mnie niepokoi. W trzeciej dekadzie wolności presja fizyczna zorganizowanej prawicy i szantażowanie używaniem przemocy przeniosły się ze stadionów do świata nauki i kultury. Względy bezpieczeństwa coraz częściej stawały się usprawiedliwieniem dla ulegania prawicowej presji. W obliczu zagrożenia ze strony radykałów państwo było bierne albo nieporadne. Bo za organizatorami przemocy zwykle mniej lub bardziej widocznie stała potężna instytucja Kościoła katolickiego. Czasem otwarcie, jak teraz w Poznaniu, gdzie arcybiskup Gądecki publicznie uznał groźbę ogólnopolskich zamieszek za najlepszą drogę do odwołania spektaklu Garcíi. Czasem bardziej dyskretnie, jak choćby w Warszawie, gdzie pikietę przed Nowym Teatrem kontrolowali stojący na jej obrzeżu księża.

Protesty mnie nie martwią. Wszystko jedno, w jakiej są sprawie oraz kto je organizuje i wspiera. Spory i sprzeczności są solą demokracji. Gdy obywatelom coś się nie podoba, powinni protestować. Demonstrować, pisać petycje, debatować. Im więcej realnie istniejących napięć i konfliktów zostaje ujawnionych, zademonstrowanych, wypowiedzianych, skonfrontowanych, wykrzyczanych albo wyśpiewanych – tym lepiej. O to nam chodziło, gdy domagaliśmy się wolności i demokracji. Nie tylko dlatego, że nikt nie ma monopolu na rację, ale też dlatego, że dzięki inności możemy się nawzajem inspirować, a spierając się czynnie, rozładujemy emocje, które w nas narastają.

Nawet ci, którzy modlą się tak głośno, że utrudniają innym usłyszenie czytanego lub odgrywanego tekstu, w pewnych sytuacjach („Golgota Picnic” wydaje mi się taką „sytuacją”) mieszczą się w spektrum właściwych form obywatelskiego sprzeciwu. To nie jest przyjemne ani kulturalne, ale gotów też jestem uznać prawo widzów, którzy kupili bilety, do głośnego reagowania na toczący się spektakl. Jeżeli skutkiem jest wyrażenie sprzeciwu, a nie zerwanie przedstawienia. Skoro wolno klaskać, to wolno też gwizdać. Gdy sztuka chce poruszać, musi liczyć się z różnymi objawami poruszenia odbiorców.

Tylko przemoc mnie martwi. Jestem za używaniem obywatelskiej wolności w pełni i za gorącą demokracją angażującą obywateli mających różne poglądy. Ale tam, gdzie pojawia się przemoc lub groźba jej użycia, tam kończą się spory obywateli, a zaczyna bezwzględna odpowiedzialność państwa za zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa. Zwłaszcza gdy lider dużej organizacji – w tym przypadku metropolita poznański – wzywa do zamieszek.

Ale mój żal do obywateli jest większy niż do państwa. Im więcej lat mija od odzyskania wolności, tym bardziej jestem przekonany, że wolność i demokracja nie są niestety dla wszystkich. Są dla tych, którzy ich chcą. Anna Walentynowicz powiedziała kiedyś, że każdy ma tyle wolności, ile sobie weźmie. Wolność jest dla odważnych i głodnych wolności. Demokracja także. Z wolnością i z demokracją jest jak z jabłkiem na drzewie. By je mieć, nie starczy, że są. Trzeba po nie sięgnąć. To czasem wymaga wysiłku, jakiegoś wyrzeczenia, zaangażowania, a nawet ryzyka.

Mam jednak nadzieję. „Picnic Polska” pokazał, że obywatele zainteresowani wolnością zaczęli się budzić. W Poznaniu nieoczekiwanie dla wszystkich obudziło się kilkuset zainteresowanych debatą o wolności. Kiedy kończyliśmy przed dziesiątą wieczorem, większość chciała dyskutować dalej. I dyskusja trwała, chociaż mikrofony zostały wyłączone. W 20 innych miastach parę tysięcy zwolenników i przeciwników spektaklu spotkało się w mniej refleksyjnym nastroju. Ale ważne jest, że się wypowiedzieli. Jedni czytając dramat, a drudzy modląc się i śpiewając. Gdyby nie chuligani, którzy częściowo słusznie uznali, że państwo jest tak słabe, by można w nim było rządzić przy pomocy paruset bejsboli, powiedziałbym, że dzięki „Golgocie” tej wiosny zazieleniła się usypiająca od lat polska demokracja. ■